

LUBIĘ DZIAŁAĆ NA EMOCJE

– Czy są role, których Pani nie zagrała, a pragnęła lub nadal pragnie zagrać?

– Kiedyś marzyłam o niektórych młodych bohaterkach szekspirowskich. Bardzo chciałam zagrać Rozalinę w „Jak wam się podoba”... W tej chwili nie marzę już o żadnej roli. Biorę to, co mi los przyniesie i cieszę się, że jeszcze czasem przynosi coś ciekawego.

– Prezes ZASP-u, Kazimierz Kaczor, w wywiadzie dla „Kulis” powiedział, że aktorstwo to zawód sprawiedliwy, każdy więc, kto ma talent i pracuje, prędzej czy później zostanie zauważony, a dziewczyna, którą ominie rola Julii, po latach zagra za to wspaniale Panią Dulską. Czy zgadza się Pani z taką opinią?

– Nie. Zdarza się bardzo często, że wiele utalentowani ludzie w teatrze giną. Szczególnie kobiety, choć i chłopcy czasem przepadają, i to nie tylko na dalekiej prowincji. Wiele talentów usycha. Ja miałam szczęście – trafiłam na genialnego reżysera, Konrada Swinarskiego, któremu spodobało się moje aktorstwo.

– Co zatem decyduje o sukcesie w zawodzie aktora?

– Oprócz talentu jest to jeszcze kwestia szczęścia, a także urody – modnej w danym momencie. Teraz na przykład wszyscy reżyserzy poszukują drobnych, szczupłych blondynek, co moim zdaniem świadczy o braku wyobraźni. Niektórzy ludzie mają w sobie coś, co zwraca uwagę – to też jest ważne dla aktora. Ale są i tacy, którzy pomimo talentu nie są w stanie przebić się, walczyć o siebie, pokazywać się, jeździć do dyrektorów – tak to jest.

– Widzę, że to Pani boli.

– Tak, to mnie po prostu boli i nie mogę sobie dać z tym rady. Uczę w szkole teatralnej, mam kontakt z młodymi ludźmi i obserwuję ich losy. Po niezrealizowanym aktorze nie zostaje nic. I nikt, do diabła, nie będzie wiedział, że istniał ktoś wrażliwy i piękny – jeśli nie miał szansy tego pokazać. W życiu, gdy nie ma się nad sobą szczęśliwej gwiazdeczki albo nie umie się walczyć, niewiele się zwojuje.

– A jak było w Pani przypadku?

– Byłam bardzo ambitna i wstydziłam się walczyć o siebie, ale załatwiła to za mnie Opatrzność.

– Znalazła się Pani w dobrym miejscu?

– O tak – ale przecież przez przypadek. Wcale nie pragnęłam przyjść do Starego Teatru, przeniosłam się tu po prostu razem z moim ówczesnym mężem. I nagle otworzyły się przede mną szalone możliwości. Najpierw było to spotkanie z Jerzym Jarockim, a wkrótce potem z Konradem Swinarskim. Tu przeżyłam złote lata. Zbudowałam całą swą karierę na współpracy ze Swinarskim, a potem z Andrzejem Wajdą, który zmusił mnie, bym zagrała Dulską w „Z biegiem lat, z biegiem dni”. Ta rola była sukcesem w teatrze i w telewizji. Zdobyłam nią popularność i publiczność, która o mnie pamięta. A przecież broniłam się przed Dulską rękami i nogami. Ja naprawdę mam dużo szczęścia...

– Jest Pani aktorką kochaną przez publiczność – czy Pani to czuje?

– Spotykam się z wieloma objawami sympatii.

– Nieznajomi ludzie zaczepiają Panią na ulicy?

– Owszem i mówią mi bardzo miłe rzeczy. W niektórych momentach krępuje mnie, że jestem osobą publiczną i wolałabym zachować incognito, szczególnie wtedy, gdy wiem, że niedobrze wyglądam, albo akurat gdzieś się spieszę. Jednak zupełnie nieznajomi ludzie zachowują się czasem tak sympatycznie, że sprawia mi to ogromną przyjemność.

– Czy dostaje Pani listy?

– Tak. Piszą przeważnie ludzie starsi, młodzi natomiast telefonują. Dzwonią i opowiadają. Pytają, co sądzę o różnych sprawach, albo jak bym postąpiła w różnych sytuacjach. Proszą o rady. Dzwonią też tacy, którzy wybierają się do szkoły teatralnej. Mam również wielbicieli telefonujących po każdej premierze, przedstawieniu w telewizji i z życzeniami imienninowymi.

– Wydaje mi się, że szeroka publiczność reaguje nie tyle na poszczególne role, co na całą Pani osobowość.

– Może mam w sobie pewien rodzaj żywotności, nerwu i dynamizmu, który ludzi pozytywnie nastroja?

W gruncie rzeczy jestem smutnym człowiekiem – widocznie tego nie widać. A może nie jestem aż tak smutna, bo przecież przeżywam także momenty euforii? Moja osobowość, pełna ambiwalencji, dla mnie samej jest bardzo trudna. Nielekko mi się żyje – w ciągłych wahaniami nastroju i ekstremalnych stanach emocjonalnych.

– Czy wyobraża sobie Pani własne życie inne niż w teatrze?

– Nie. Kocham również muzykę, ale nie miałam dość wytrwałości i samozaparć, by się jej poświęcić. Poza tym za-

wsze byłam bardzo towarzyska, a w teatrze pracuje się wśród ludzi.

– Spotkałyśmy się podczas Festiwalu Unii Teatrów Europy w Krakowie – jakie są Pani refleksje na temat dzisiejszego teatru?

– Myślę, że teatr przeżywa ciężkie chwile, ale nie tylko z własnej winy. Zresztą o kryzysie w teatrze mówiło się zawsze, nawet w jego najlepszych latach – 60. i 70. Wtedy jednak ciągle działo się coś nowego i wspaniałego, a rzeczywiście od jakiegoś czasu tak wielkie wydarzenia zdarzają się rzadko. Stąd poczucie, że z teatrem stało się coś złego. Sądzę, że przyczyna tkwi w straszliwej posusze na polu dramaturgii. Nie ma sztuk, które sprostałyby problemom naszego szalonego świata. Reżyserzy biorą więc na warsztat klasykę. Uwielbiam klasykę, mam jednak przy tym wielką estymę dla stylu i ducha epoki. Rozumiem, że tę literaturę trzeba czytać poprzez współczesne doświadczenia, ale nie uznaję torturowania autorów, jak to robi wielu reżyserów, chcąc zapewne stworzyć nową formę teatru i nowe środki wyrazu.

– Do jakiego więc stopnia reżyser może sobie pozwolić na zmianę tego, co napisał autor?

– Pozwolić sobie może na bardzo wiele, gdyż jest artystą tworzącym nową wartość na bazie tekstu literackiego. Uważam jednak, że nie ma prawa zabijać ducha literatury, jak to się, niestety, bardzo często dzieje. Zwłaszcza gdy artysta ma więcej ambicji niż talentu. Winna jest też krytyka teatralna, często tępiąca najdrobniejsze przejawy realizmu czy normalności na scenie.

– Czy to, co piszą krytycy, ma dla ludzi teatru duże znaczenie?

– Niektórzy moi koledzy bardzo się tym przejmują i powiem szczerze, że ze mną było kiedyś podobnie. Ale też mieliśmy wtedy wielką krytykę teatralną – ludzi mądrych i znakomicie piszących, obdarzonych świetnym gustem. A dziś krytyka także się pogubiła. Istnieje tak wielki rozstrzał opinii, że przejmując się nimi musiałabym po prostu zwariować. Od jakiegoś czasu przestałam więc w ogóle czytać prasowe recenzje.

– Za to coraz częściej Pani reżyseruje.

– Bywam reżyserem na marginesie swojej aktorskiej i pedagogicznej działalności. Reżyserując dbam głównie o to, by rozweselić publiczność – wcale się nie wstydję, że robię przedstawienia dla publiczności i w tym sensie jestem reżyserem „komercyjnym”. Chcę, by ludzie w teatrze zabawili się i coś przeżyli, żeby się wzruszyli. Lubię działać na emocje.

– Często oglądam ludzi, którzy przyszli do teatru z nadzieją jakiegoś przeżycia, a wychodzą z niewyraźnymi minami. Są przede wszystkim zdezorientowani. Nie doznali żadnych wzruszeń.

– Nijakość w teatrze to najgorsze, co może się wydarzyć. Bo kiedy połowa widowni oburza się, a druga połowa zachwyca – wszystko jest w najlepszym porządku.

– Czego przede wszystkim uczy Pani młodzież w szkole teatralnej?

– Przede wszystkim tego, by aktorstwo stało się częścią ich życia. Częścią ich samych. Treścią teatru jest człowieczeństwo. Staram się przekazać moim studentom nie tylko umiejętności techniczne, nauczyć ich środków aktorskich, odkryć tajemnice zachodu, ale także – a może przede wszystkim – rozbudzić ich wyobraźnię, rozwinąć wrażliwość i przygotować do życia w społeczności teatralnej. Do wzlotów i upadków nieodłącznie związanych z uprawianiem tego zawodu. Uczę ich szacunku dla sztuki, dla literatury, dla partnera i dla samych siebie. A ponieważ sama jestem aktorką emocjonalną i poprzez swoje role mówię o sobie więcej, niż byłabym w stanie przekazać w jakikolwiek inny sposób – oczekuję od nich tego samego.